

# Czerwony Bóg

Jack London



calibre 0.9.27

# CZERWONY BÓG

Jack London

Oto jest! Nagłe wyzwolenie dźwięku! Bassett spojrzął na zegarek i porównał rozlegający się dźwięk z trąbą archanioła. Istotnie, rozmyślał, mury miast mogą się rozpadać na tak doniosłe i rozkazujące wezwanie. Po raz tysięczny usiłował na próżno analizować rodzaj tonów potężnego głosu, który zapanował nad ziemią, aż hen, daleko, aż po siedziby sąsiednich plemion. Wąwóz górski, z którego głos wychodził, rozbrzmiewał rosnącym wciąż dźwiękiem, aż wreszcie potęga tonu wzniosła się wyżej, nappełniła ziemię, powietrze i niebiosy. Rozhulana wyobraźnia chorego porównywała melodię do potężnego okrzyku jakiegoś Tytana Starszego Świata, którego dręczy ból lub porusza gniew. Dźwięk wznosił się wyżej i wyżej, wzywał i błagał taką głębią tonów, że zdawał się być przeznaczony dla słuchu umieszczonego gdzieś poza granicami systemu słonecznego. Był w nim również okrzyk protestu, że nie ma uszu godnych usłyszenia go i zrozumienia ukrytej w nim myśli.

Fantazja chorego człowieka. Starał się jednak zanalizować ten dźwięk. Rozległy jak grzmot, dźwięczny jak złoty dzwoneczek, cienki i słodki jak brzęk napiętej srebrnej struny; żaden z tych dźwięków ani też zbiór ich wszystkich razem. Brakło słów w słowniku i doświadczeniu Bassetta, by opisać całość tego dźwięku.

Czas mijał. Minuty zamieniały się w kwadransy, kwadransy w półgodziny, dźwięk trwał, zmieniał wciąż początkowy impuls głosu, lecz nie przybierał nowego — zniżał się, omdlewał, zamierał tak potężnie, jak wznosił się w pierwszej chwili swego istnienia. Wreszcie przeszedł w mieszaninę niespokojnych szmerów, gwarów i olbrzymich szeptów. Cofał się z wolna, jęk za jękiem, wracał w olbrzymie łono, jakie mu życie dało, aż wreszcie użalał się śmiertelnym szepciem gniewu i niemniej pełnym uroku szepciem rozkoszy, usiłując wciąż być dosłyszalnym, podać jakąś tajemnicę, jakieś pojęcie nieskończenie ważne i pełne znaczenia. Ubywał, aż stał się zjawą dźwięku, zjawą, która straciła grozę swą i moc obietnicy, stał się czymś drżącym w świadomości chorego przez długie minuty jeszcze, gdy już zapanowała cisza. Skoro już nic nie mógł dosłyszeć, Bassett spojrzął na zegarek. Godzina minęła, nim trąba archanioła przeszła w zupełną nicość.

Czy to właśnie jest jego czarna wieża? — myślał Bassett, wspominając Browninga, i spoglądał na swoje ręce, chude jak szkielet, trawione gorączką. Uśmiechnął się do swej myśli o Childe Rolandzie, gdyby ręką tak słabą, jak jego ręka, róg do ust podniósł. Miesiące czy lata minęły — pytał sam siebie — od chwili gdy po raz pierwszy usłyszał to tajemnicze wezwanie na wybrzeżu Ringmanu? Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, nawet gdyby życie od niego zawisło. Długa choroba trwała bez końca. W chwilach, gdy odzyskiwał przytomność, zdawał sobie sprawę z czasu, wiedział o całych miesiącach; nie miał jednak sposobu, by określić długie przerwy spowodowane gorączką i brakiem przytomności. Co porabiał kapitan Bateman z Nari? — rozmyślał; czy ten jego pomocnik, pijak, umarł już na białą gorączkę?

Od tych pytań, na które nie miał odpowiedzi, Bassett przeszedł myślą leniwie *do* wszystkiego, co zaszło od tego dnia na wybrzeżu Ringmanu, gdy po raz pierwszy usłyszał dźwięk i poszedł za nim w głąb dżungli. Sagawa sprzeciwiał się. Widział go jeszcze, z jego śmieszna, małpią twarzą,

wyrażającą strach, z plecami uginającymi się pod ciężarem skrzynek z okazami, w rękę miał siatkę do łowienia motyli i strzelbę i mówił łamaną angielszczyzną: „Ja bać się dżungli. Żli ludzie chodzić wzdłuż dżungli za wiele“.

Bassett uśmiechnął się smutno na to wspomnienia. Chłopak z New Hanover bał się, lecz był wierny, poszedł za nim w gąszcz bez wahania w poszukiwaniu źródła cudownego dźwięku. To nie wypalony pień drzewa, niosący pieśń wojenną poprzez głębie dżungli, orzekł Bassett. Mylny był jego wniosek następny, a mianowicie, że źródło lub przyczyna dźwięku nie mogły być oddalone więcej niż o godzinę drogi, że z łatwością powróci przed wieczorem i że łódź statku Nari, która wyruszyła na połów wielorybów, zabierze go z powrotem.

„Ten wielki hałas nic dobrego, on szatan-szatan“, osądził Sagowa. I Sagawa miał słuszość. Czyż nie miał rozciętej głowy w ciągu tegoż dnia? Bassett zadrżał. Sagawa został niewątpliwie zjedzony przez „złych chłopców za wiele, którzy ukrywali się w gąszczu. Zdawało mu się, że go widzi, tak jak widział go po raz ostatni, ograbionego ze strzelby i wszystkich przyborów naturalisty, należących do jego pana, leżącego na wąskiej ścieżynce, na której przed chwila ucięto mu głowę. Tak, stało się to w ciągu minuty. Minutę przedtem Bassett obrócił się i widział go, jak szedł cierpliwie, zgięty pod ciężarem. Odtąd zaczęły się nieszczęścia Bassetta. Spojrzał na okrutnie zgojone kikuty dwóch pierwszych palców swej lewej ręki, potarł je lekko o wgłębienie z tyłu czaszki. Jakkolwiek szybki był rzut tomahawka o długiej rączce, zdążył jednak zakryć głowę i częściowo unieszkodliwić uderzenie wzniesieniem ręki. Dwa palce i brzydka rana głowy — za tę cenę okupił życie. Jednym strzałem swej dziesięciopalcowej strzelby wydarł życie buszmenowi, który go już prawie chwycił; drugim rozpedził buszmenów nachylonych nad Sagawą. I Bassetta cieszyła pewność, że większość ładunku trafiła tego właśnie buszmena, który umykał z głową Sagawy. Wszystko to zaszło w mgnieniu oka. Na wąskiej, wydeptanej przez dziki ścieżce pozostał tylko on, Bassett, zabity buszmen i szczątki Sagawy. Żaden szmer ruchu ani dźwięk życia nie dał się słyszeć z dżungli po obu jej stronach. Poniósł dotkliwy, okropny cios. Pierwszy raz w życiu zabił człowieka i zrobiło mu się słabo na widok tego, co uczynił.

Potem zaczęło się ściganie. Cofnął się na ścieżkę przed napastnikami, którzy stali pomiędzy nim i wybrzeżem. Nie mógł odgadnąć, ilu ich było. Sądząc z tego, co widział, mógł być jeden — lub stu. Że niektórzy z nich weszli na drzewa i wędrowali wzdłuż sklepienia dżungli — tego był pewien, gdyż widział chwilami ich przesuwające się cienie. Nie słyszał świstu strzał; co chwila jednak przelatowały mimo niego lub trafiały w drzewa i padały na ziemię obok niego nie wiadomo skąd wypuszczone drobne strzały. Miały ostrza z kości i pióra po bokach, pióra wyrwane z pierś! ptaków, które lśniły barwami klejnotów.

Raz jeden — i teraz, gdy wiele czasu minęło, zaśmiał się na samo wspomnienie — ujrzał nad sobą cień, który zatrzymał się natychmiast, skoro podniósł głowę, aby nań spojrzeć. Nic nie mógł rozpoznać, lecz postanowił spróbować, wystrzelił ciężkim nabojem numer piąty. Cień spadł poprzez paprocie drzewiaste i orchidee z wrzaskiem wściekłego kota, zarył się w ziemię u jego stóp i wrzeszcząc dalej z wściekłości i bólu zagłębił swe ludzkie zęby w jego but tuż przy kostce. On ze swej strony nie tracił czasu i wolną nogą uczynił ruch, który ten wrzask doprowadził do milczenia. Od tego czasu Bassett tak zżył się z dzikością, że roześmiał się znowu na to wspomnienie.

A noc, która potem nastąpiła! Nic dziwnego, że zebrały się w nim tak zjadliwe i rozmaite gorączki, myślał, wspominając bezsenność nocną, gdy rwanie w ranach było niczym w porównaniu do niezliczonych ukłuc moskitów. Nie można było ich się ustrzec — nie śmiało zaś rozpalić ognia. Przepelniły jadem jego ciało, tak że z nadejściem dnia, z opuchniętymi, prawie zamkniętymi oczyma, chromał idąc jak ślepy, nie dbał o to, czy głowa jego nie spadnie, a trup nie pójdzie za Sagawą do

ogniska, gdzie go ugotują. Jedna doba rozbiła go doszczętnie — fizycznie i umysłowo. Był prawie nieprzytomny, tak go zatruwał jad, wszczepiony mu w ogromnych ilościach. Kilka razy wystrzelił z powodzeniem do cieni, jakie mu wciąż towarzyszyły. Kłujące owady dzienne i muszki powiększały jego mękę, zaś krwawiące rany przyciągały roje wstrętnych much, które w gryzały się w jego ciało i które musiał zrzucić i dusić.

Raz jeden w ciągu tego dnia usłyszał znowu przecudny dźwięk, na pozór bardziej oddalony; lecz głośniejszy niż bliższy okrzyk wojenny w gąszczu. Na tym właśnie polegała jego omyłka. Sądził, że minął miejsce, skąd dźwięk pochodził, że leży ono obecnie pomiędzy nim i wybrzeżem Ringmanu, toteż cofnął się na powrót ku niemu, w rzeczywistości zaś zagłębiał się coraz bardziej w pełne tajemnic serce niezbadanej wyspy. Tej nocy ukrył się w skłębionych korzeniach drzewa bananowego, spał z wycieńczenia, podczas gdy moskity igrały z nim do woli.

Nastąpiły dni i noce niejasne w jego pamięci jak majaczenia. Jedno pamiętał wyraźnie: nagle znalazł się w środku wioski buszmeńskiej i patrzył na dzieci i starców, uciekających w głąb dżungli. Wszyscy uciekli prócz jednej osoby. Tuż przy sobie i nad sobą usłyszał jakby zbo lałego i przerażonego zwierzęcia. Odczuł strach. Spojrzał do góry i zobaczył dziewczynę, lub raczej młodą kobietę, zawieszoną za rękę w palącym słońcu. Może od wielu dni tak wisiała. Świadczył o tym jej wysunięty, opuchły język. Żyła jeszcze i spoglądała na niego przerażonymi oczyma. Nie ma ratunku, pomyślał, widząc spuchnięcie jej nóg, świadczące, że stawy ma strzaskane i połamane kości. Postanowił ją zastrzelić — to był koniec widzenia. Nie pamiętał, czy to uczynił, czy też nie, nie pamiętał również, jakim sposobem trafił do tej wioski, ani też jak mu się udało wyjść stamtąd.

Wiele obrazów przesuwało się przez myśl Bassetta, gdy wspominał ten okres swej strasznej wędrówki. Pamiętał, jak wszedł do innej wioski, składającej się z dwunastu chat, i strzelba wypędził z niej wszystkich, prócz jednego starca, za słabego, aby uciekać. Ten pluł na niego, jęczał i warczał, gdy Bassett rozkopywał piec ukryty w ziemi i wyciągał spośród gorących kamieni upieczonego wieprza, z którego dymiła rozkoszna woń poprzez liście, w jakie był owinięty. Wówczas to oponował go szal dzikości. Posilił się i gotów do odejścia z szynką wieprza w ręku z pełnym rozmysłem podpalił strzechę z trawy swym szkiełkiem do rozpalania.

Najmocniej jednak wryła się w umysł Bassetta bagnista, obrzydła dżungla. Była w niej woń choroby, i stale panował półmrok. Promień słońca rzadko przebijał jej dach spleciony sto stóp ponad głową. Pod tym dachem było jakieś powietrzne parowanie roślinności, potworne pasożyty sączyły krople dziwacznych form życia, gnieźdzących się w śmierci i śmiercią żyjących. Szedł przez to wszystko, ścigany nieustannie przez migające cienie ludożerców, przez cienie złego, które nie miały odwagi wystąpić do otwartej walki, lecz wiedziały, że prędzej czy później dostaną go na pożarcie. Bassett pamiętał, że wówczas w chwilach przytomności porównywał siebie do zranionego byka, ściganego przez zwykłe kojoty, zbyt tchórzliwe, by walczyć z nim o jego mięso, lecz pewne, że nie uniknie końca, a wówczas go pożrą. Jak rogi i kopyta byka odstraszały kojoty, tak strzelba jego utrzymuje w oddali tych mieszkańców Wysp Salomona, te ohydne cienie buszmenów z Wyspy Guadalcanal.

Nadszedł dzień ziemi porosłej trawą. Nagle, jakby ucięta mieczem Boga, dżungla dosięgła końca. Kraniec jej, prostopadły i czarny jak jej podłoże, wznosił się na sto stóp w górę. I tuż u jej końca rosła trawa — słodka, miękka, soczysta, pastwisko, które byłoby rozkoszą dla oczu i była każdego rolnika, i która rozciągała się w olbrzymią dal aksamitem zieleni, do środkowego punktu wielkiej wyspy, do łańcucha wieżastych gór, wyrzuconych z łona ziemi przez jakiś kataklizm sprzed wieków, ściśniętych i poszarpanych, lecz nie skruszonych dotąd przez ostre deszcze podzwrotnikowe. Lecz trawa! Pełznął w niej ze dwanaście jardów, ukrył w niej twarz, napawał się jej zapachem i



wybuchnął mimo woli spazmatycznym płaczem.

Podczas gdy płakał, przecudny dźwięk odezwał się znowu — jeśli można dokładnie określić tym wyrazem, jak nieraz myślał potem, wydanie tak dziwnie słodkiego dźwięku. Był słodki jak żaden inny kiedykolwiek słyszany. Był rozległy, o tak potężnym brzmieniu, że mógł pochodzić z potężnej gardzieli jakiegoś nieznanego potwora. Wzywał go poprzez rozległe sawanny, był jakby błogosławieństwem w długich cierpieniach jego strudzonego ducha.

Pamiętał, jak leżał tam w trawie, z mokrym obliczem, lecz już bez łkania, jak słuchał dźwięku i dziwił się, że zdołał go dosłyszeć na wybrzeżu Ringmanu. Jakiś nacisk powietrza i prąd powietrzny, myślał, sprawiły, że dźwięk ten tak daleko się niesie. Taka okoliczność nie powtórzy się może w ciągu tysiąca lub dziesięciu tysięcy dni; lecz ten jeden dzień, kiedy miała miejsce, był dniem, gdy zeszedł z Nari na brzeg na kilka godzin, w poszukiwaniu okazów do swoich zbiorów. Poszukiwał szczególnie słynnego motyla dżungli; koniec jednego skrzydła o stopę oddalony od końca drugiego, brak barwy nadawał jego miękkiemu pyłkowi kolor mroku pod dachem, żył on tylko na drzewach, w sklepieniu dżungli i tylko strzały mogły go na dół ściągnąć. W tym to celu niósł Sagawa strzelbę na dziesięć strzałów.

Dwa dni i dwie noce włókł się przez ten pas trawy. Cierpiał bardzo, lecz pogoń ustała u krańca dżungli. Byłby skonał z pragnienia, gdyby nie podziałała nań ożywczo silna burza następnego dnia.

Potem nadeszła Balatta. W pierwszym ocienionym miej scu, gdzie sawanna ustąpiła przed gęstą dżunglą górską, sądził, że umrze. Krzyknęła z rozkoszy na widok jego bezbronności i zamierzała rozbić mu czaszkę za pomocą grubej gałęzi. Może przemówiła do niej ta jego bezbronność, może jakaś ludzka ciekawość wstrzymała ją od tego czynu. W każdym razie wstrzymała się, otworzył bowiem oczy i spostrzegł, że bacznie mu się przygląda. Szczególne wrażenie wywarły na nią jego niebieskie oczy i biała skóra. Usiadła spokojnie, splunęła na jego rękę i zaczęła palcami odrapywać narosły podczas długich dni i nocy w dżungli brud, który zakrywał lśniąca białosc jego skóry.

Postać jej na nim też wywarła wrażenie, chociaż nie było w niej nic konwencjonalnego. Zaśmiał się z cicha na samo wspomnienie, była bowiem równie uboga w odzież jak Ewa przed zdarzeniem z liściem figowym. Krępa i chuda zarazem, o członkach niesymetrycznych, muskularna, jak gdyby opleciono powrozami, brudna od dzieciństwa, obmyta z rzadka potokami deszczu, była tak niepięknym prototypem kobiety, jakiego jego oko uczonego nigdy nie oglądało. Pierś jej wskazywała jednocześnie jej dojrzałość i młodość; płeć jej wyrażał jeden przedmiot stroju, jaki miała na sobie, a mianowicie ogon wieprza, zwisający z lewego ucha. Ogon ten tak niedawno został przewieszony, że z odciętego końca jeszcze sączyła się krew, która zasychała na jej ramieniu jak krople roztopionej świecy. A twarz! Zgnieciony, pomarszczony zbiór małpich rysów, uzupełnionych przez odwrócone ku górze mongolskie nozdrza, przez usta o olbrzymiej górnej wardze, ginące nagle w cofniętej brodzie i przez świdrujące niespokojne oczy, błyszczące tak, jak błyszczy wzrok mieszkańców małpich klatek.

Nawet woda, którą mu przyniosła w dużym liściu, ani kawałek na wpół rozkładającego się pieczonego mięsa wieprzowego nie zdołały okupić dziwacznej potworności jej postaci. Gdy zjadł trochę, zamknął oczy, by jej nie widzieć, chociaż znowu trącała go i podnosiła powieki, chcąc patrzeć na ich błękit. Wówczas rozległ się dźwięk. Bliżej, o wiele bliżej, wiedział o tym; wiedział również, że pomimo drogi, jaką przebył, oddziela go odeń znaczna odległość. Na nią dźwięk wywarł wrażenie wstrząsające. Ugięła się pod nim, zakryła twarz, jęcząc i szczękając zębami ze strachu. Gdy jednak przeżył swe pełne jednogodzinne życie, Bassett zamknął oczy i usnął. Balatta zaś odganiała muchy.

Noc była, gdy się obudził, i Balatty przy nim nie było. Uczuł się jednak silniejszy i zbyt przesiąknięty jadem moskitów, by stan zapalny mógł się powiększyć, zamknął oczy i spał bez

przerwy do rana. Nieco później powróciła Balatta, z nią razem nadeszło pół tuzina kobiet, które, chociaż nieładne, nie były jednak tak brzydkie jak ona.

Zachowaniem swoim dowiodła, że uważała go za przedmiot przez siebie znaleziony, za swoją własność, i duma, z jaką go pokazywała, byłaby śmieszna, gdyby położenie jego nie było tak rozpaczliwe.

Później, po okropnej dla niego wielomilowej podróży, gdy osłabł do reszty przed domem szatana-szatana w cieniu drzewa chlebowego, okazała nader wymownie swe zamiary co do zachowania go w swym posiadaniu. Ngurn, którego Bassett poznał później jako szatana-szatana: lekarza, kapłana lub aptekarza wioski, zapragnął jego głowy. Inni spośród wykrzywiających się i gadatliwych ludzi-małp, którzy wszyscy podobnie jak Balatta pozbawieni byli wszelkiej odzieży i odznaczeni się równie zwierzęcą powierzchownością, zapragnęli jego ciała, celem upieczenia w piecu. Nie rozumiał wówczas ich języka, jeśli można zaszczycić mianem języka nieokrzesane dźwięki wydawane przez nich dla wyrażenia myśli, lecz doskonale rozumiał treść ich dyskusji; szczególnie gdy mężczyźni przyciskali go i szczypali, i dotykali jego ciała, jak gdyby był towarem w sklepie rzeźnika.

Balatta miała już przegrać sprawę, gdy zaszedł drobny wypadek. Jeden z mężczyzn, który z zaciekawieniem oglądał strzelbę Bassetta, przypadkiem pociągnął za spust. Umieszczenie celu w środku jego żołądka nie było najkrwawszym wynikiem tej zabawy, nabój bowiem trafił z odległości jednego jarda w głowę jednego z członków tej narady i rozbił ją w proch.

Nawet Balotta rzuciła się do ucieczki wraz z innymi, a nim powrócili, Bassett, już niezupełnie przytomny pod wpływem nadchodzącego ataku gorączki, odzyskał swoją strzelbę. Chociaż szczękała zębami, wstrząsany gorączką i błędne oczy ledwie cokolwiek dostrzec mogły, całym wysiłkiem woli starał się zachować przytomność, dopóki nie onieśmielił całkowicie buszmenów za pomocą prostych czarów jak kompas, zegarek, szkiełko do zapalania i zapalniczki. Wreszcie z należnym naciskiem, z uroczystą i groźną zarazem miną zastrzelił młodego wieprza i natychmiast potem zemdlął.

Bassett natężył mięśnie, chciał bowiem wydobyć z siebie resztkę siły, na jaką mógł się jeszcze zdobyć przy całym swym osłabieniu, i wolno, chwiejąc się cały, powstał na nogi. Był przerażająco chudy; jednak w ciągu wielomiesięcznej długiej choroby nigdy chyba nie odzyskał tyle sił, jak w tej chwili właśnie. Obawiał się przede wszystkim nowej recydywy, takiej jak już nieraz doświadczał. Bez lekarstw, bez chininy nawet, zdołał wytrzymać dotąd nawet komplikacje najbardziej zdradzieckich i złośliwych gorączek malarycznych i czarno-wodnych. Czy będzie mógł je wytrzymać w dalszym ciągu? Pytanie to męczyło go bezustannie. Jak prawdziwy uczonek, jakim był, nie chciał umrzeć, dopóki nie rozwiąże zagadki tajemniczego dźwięku.

Wsparty o kij, przeszedł zataczając się kilka kroków do domu szatana-szatana, w którym wśród mroku królowali niepodzielnie Śmierć i Ngurn. Zdaniem Bassetta, dom szatana-szatana był prawie tak haniebnie ciemny i śmierdzący jak dżungla. Tam jednak zazwyczaj można było zastać jego ulubionego starego przyjaciela, gadułę Ngurna, który zawsze chętnie zaczynał pogawędkę siedząc w popiołach śmierci i obracając szybko w obłoku dymu ludzkie głowy, zawieszane u krokwi. W ciągu bowiem miesięcznej przerwy w swej długiej chorobie, podczas której zachował zupełną przytomność, Bassett opanował prostotę psychologiczną i trudności języka plemienia, do którego należeli Ngurn i Balatta, i Vngngn; — ten ostatni, był to młody wódz o pustej głowie, którym rządził Ngurn i który, jak wieść niosła, był jego synem.

„Czy Czerwone bóstwo dzisiaj przemówi?“ — pytał Bassett, tak przyzwyczajony już do zajęcia starca, że interesował go nawet postępek wędzenia.

Ngurn spojrział okiem znawcy na głowę, którą był zajęty w tej chwili.

„Dziesięć dni minie, nim będę mógł powiedzieć, koniec“, odparł. Nigdy jeszcze nikt nie doprowadził głów do takiego stanu, jak te“.

Bassett uśmiechnął się w duchu na niechęć staruszka do rozmowy o Czerwonym bóstwie. *Zawsze* tak było. Nigdy jeszcze ani Ngurn, ani żaden inny z członków dzikiego tego plemienia nie uczynił najlżejszej wzmianki o jakiegokolwiek z charakterystycznych cech Czerwonego bóstwa. Czerwone bóstwo musiało być istotą fizyczną, jeśli wydawało ten niezwykły dźwięk, i chociaż nazywano je Czerwonym, Bassett nie był pewny, czy kolor jego istotnie jest taki. Czyny jego i potęga były dość czerwone, o ile mógł wywnioskować z urywanych abstrakcyjnych szczegółów. Stosownie do informacji udzielonych przez Ngurna, Czerwone bóstwo posiadało nie tylko więcej zwierzęcej potęgi niż bogowie sąsiednich plemion, zawsze spragnieni czerwonej krwi żywych ofiar ludzkich, lecz ci bogowie sąsiadów sami byli męczeni i poświęceni na ofiary w jej obecności. Było ono bogiem dwunastu sprzymierzonych wiosek, podobnych do tej wsi, która stanowiła ośrodek i naczelne miejsce federacji. Mocą Czerwonego bóstwa niejedna obca wieś została ograbiona i nawet starta z powierzchni ziemi, zaś jeńcy jemu w ofierze złożeni. Tak było dzisiaj, i ta prawda sięgała starych dziejów, podawana ustnie z pokolenia na pokolenie. Gdy on, Ngurn, był młodym człowiekiem, napadły ich plemiona spoza krainy trawy. Przy odpieraniu napadu Ngurn i jego wojownicy pochycili wielu jeńców. Samych dzieci przeszło dziesięć dziesiątków spłynęło krwią w obliczu Czerwonego bóstwa, i znacznie więcej mężczyzn i kobiet.

Gromowładca — takie było drugie imię nadawane przez Ngurna tajemniczemu bóstwu. Czasami nazywano je także Głośnym Okrzykiem, Głosem Boga, Gardzielą Ptaka, Tym, którego Gardło jest tak słodkie jak Gardziel Ptaka Miodowego, Śpiewakiem Słońca i Urodzonym z Gwiazdy.

Dlaczego Urodzonym z Gwiazdy? Bassett nadaremnie wypytywał Ngurna. Jak twierdził stary doktor szatan-szatan. Czerwone bóstwo było zawsze tam, gdzie jest obecnie, zawsze śpiewało i wołę swą narzucało ludziom. Lecz ojciec Ngurna, owinięty w nadpsute maty z trawy, których teraz jeszcze wisi nad ich głowami wśród uwędzonych krokwi domu szatana-szatana, innego był zdania. Ten mędrzec, który już odszedł, wierzył, że Czerwone bóstwo powstało z nocy gwiazdzistej, inaczej bowiem — taki był jego argument — dlaczegóż by ludzie starzy, dawno pomarli, podali imię: Urodzony z Gwiazdy? Bassett musiał przyznać, że ten argument ma pewną rację bytu. Ngurn twierdził stanowczo, że w ciągu długich lat swego życia, podczas których oglądał niejedną noc gwiazdzistą, nigdy nie znalazł gwiazdy na trawie ani w głębinach dżungli — a szukał ich nieraz. Prawda, widział spadające gwiazdy (to w odpowiedzi na zaprzeczenie Bassetta); lecz widział też fosforyzujące rośliny, zgniłe mięso i robaczki świecące wśród nocy ciemnych, płomień ognia drzewnego i blask orzechów świecących: czymże jednak były płomień, blask i światło, gdy Już przebłysły? Odpowiedź: wspomnieniami, wspomnieniami tylko, o rzeczach, które przestały istnieć, jak wspomnienia o dawnej kochance: ucztach zapomnianych, pragnieniach, które są zjawą pragnień, lśnią, błyszczą i palą, lecz nie staną się rzeczywistością, nie przyniosą szczęścia i ukojenia. Gdzie apetyt dnia wczorajszego? Pieczone mięso dzikiego wieprza, którego nie dosięgła strzała myśliwego? Dziewczyna, niepoślubiona i martwa, zanim młodzieniec ją poznał?

Wspomnienie nie jest gwiazdą — twierdził Ngurn. Jakżeby mogło być gwiazdą? Następnie, po całym swym długim życiu uważał, że gwiazdziste niebo nocy wcale nie uległo zmianom. Nigdy nie zauważył braku jakiegokolwiek gwiazdy na jej zwykłym miejscu. Przy tym gwiazdy to ogień, a Czerwone bóstwo nie jest ogniem — ostatnie to mimowolne wyznanie nie mogło nic Bassettowi wyjaśnić.

„Czy Czerwone bóstwo przemówi jutro?“ — pytał.

Ngurn wzruszył ramionami — nie wiadomo.

„A pojutrze? — a następnego dnia?“ — nalegał Bassett.

„Chciałbym uwędzić twoją głowę“, Ngurn zmienił przedmiot rozmowy.

„Niepodobna do żadnej innej. Żaden szatan-szatan nie ma takiej głowy. Doskonale bym ją uwędził. Trwałoby to wiele miesięcy. Księżyc pojawiałby się i przemijał, dym byłby bardzo lekki, zbierałbym sam paliwo do tego dymu. Skóra wcale by się nie zmarszczyła. Byłaby również gładka jak twoja skóra obecnie“.

Wstał, z zadymionych krokwi, pokrytych sadzą od wę dzenia niezliczonej ilości głów i z miejsca, gdzie w biały dzień panował mrok, zdjął paczkę, zawiniętą plecionką z trawy, i zaczął ją rozwijać.

„To taka głowa jak twoja, lecz marnie uwędzona“, rzekł.

Bassett nastawił uszu na wzmiankę, że to głowa białego człowieka; od dawna bowiem przyjął za pewnik, że ci mieszkańcy dżungli w samym środku wielkiej wyspy nie zetknęli się z białymi ludźmi. Znalazł ich, tego był pewien, bez najmniejszej znajomości łamanej angielszczyzny wschodnich wybrzeży Oceanu Spokojnego. Nie znali tytoniu ani prochu. Nieliczne ich drogocenne nożyki wykonane były z żelaznych obręczy, zaś nieliczne i jeszcze cenniejsze tomahawki — z tanich siekierok, które, jak przypuszczał, musieli zdobyć podczas wojny z buszmenami dżungli, poza pasem łąk; sądził, że ci ze swej strony zdobyli je również w podobny sposób od ludzi znad słonej wody, którzy handlowali koralami z raf koralowych wybrzeża i byli w kontakcie z białymi.

„Naród tam, poza nami, nie umie wędzić głów“, wyjaśniał Ngurn: wyciągając z brudnej plecionki i dając Bassettowi do rąk głowę, pochodzącą niewątpliwie od białego człowieka.

Były to bez wątpienia dawne dzieje; jasne włosy stwierdzały, że to głowa białego. Mógłby przysiąc, że głowa należała kiedyś do Anglika, i to do Anglika z dawnych czasów, jak świadczyły ciężkie złote koła, tkwiące dotąd w wyschniętych uszach.

„Otóż, twoja głowa...“ zaczął doktor szatana-szatana swą ulubioną rozmowę.

„Słuchaj, co ci powiem“, przerwał Bassett, któremu przyszła nowa myśl. „Dam ci uwędzić moją głowę, gdy umrę, jeśli przedtem dasz mi spojrzeć na Czerwone bóstwo“.

„I tak będę miał twoją głowę, gdy umrzesz“, odrzucił Ngurn propozycję. Dodał z brutalną szczerością dzikiego: „Zresztą niewiele masz życia przed sobą. Jesteś już ledwie żywy. Będziesz coraz słabszy. Niewiele miesięcy minie i będę cię miał tutaj, będziesz wisiał i obracał się, obracał w dymie. Miło w długie godziny popołudniowe obracać głowę kogoś, kogo się tak dobrze znało, jak ja ciebie. Będę do ciebie mówić i opowiem wiele tajemnic, które chcesz znać. Będzie to już obojętne, bo będziesz nieżywy“.

„Ngurn“. zagroził Bassett w nagłym gniewie. „Znasz Dziecię Grzmot w Żelazie, które do mnie należy“. (Odnosiło się to do jego wszechmogącej i strasznej strzelby). W każdej chwili mogę cię zabić, wówczas nie będziesz miał mojej głowy“.

„Wszystko jedno, będzie ją miał Vngngn lub ktokolwiek inny z mego ludu“, upewnił go Ngurn spokojnie. „Zupełnie tak samo będzie się obracać i obracać, tutaj, w domu szatana-szatana, w dymie. Czym prędzej mnie zabijesz swym Dzieciątkiem Grzmotem, tym prędzej głowa twoja będzie się obracała w dymie“.

Bassett wiedział, że doznał porażki w dyskusji.

Czym jest Czerwone bóstwo? — pytał Bassett sam siebie po tysiąc razy w ciągu następnego tygodnia, gdy zdawało się, że sit mu przybywa. Co jest źródłem tego przecudnego dźwięku? Czym jest ten Śpiewak Słońca, ten Urodzony z Gwiazdy, to tajemnicze bóstwo, które postępuje tak po zwierzęcemu jak te czarne, o pustych głowach, do mały podobne bestie ludzkie, które je darzą swym uwielbieniem i którego srebrno brzmiący śpiew i rozkazy słyszał w niezbadanej odległości od tak dawna?



Nie udało mu się przekupić Ngurna obietnicą nieuniknionego wędzenia jego głowy, gdy umrze. Vngngn, głupiec i wódz, był zanadto głupi i zanadto pod wpływem Ngurna, by liczyć na niego. Pozostaje Balatta, która od czasu, jak go znalazła i otwierała jego niebieskie oczy, by spoglądał na dziwną kobiecą ohydę, uwielbiała go w dalszym ciągu. Była kobietą i wiedział od dawna, że jedyna droga do uzyskania od niej zdrady własnego plemienia prowadziła przez jej kobiece serce.

Bassett był wybrednym mężczyzną. Nie ochłonał nigdy z pierwszego uczucia wstrętu, jaki wzbudziła w nim ohydna kobiecość Balatty. Tam w Anglii, nawet za jego najlepszych czasów, urok kobiety nigdy nie działał na niego zbyt silnie. Jednak teraz, stanowczo, jak to może uczynić tylko człowiek zdolny do samomęczeństwa dla dobra nauki, rozpoczął z pogwałceniem wrodzonej mu estetyki i delikatności ubieganie się o względy niemożliwie wstrętnej kobiety, buszmenki.

Zatrząsał się z obrzydzenia, lecz odwrócił głowę, by ukryć grymas, gdy objął ramieniem jej ramiona pokryte warstwą brudu i uczył dotknięcie jej jełko tłustych i kudłatych włosów na szyi i na brodzie. Jęknął prawie, gdy poddała się tej pieszczocie na samym początku jego zalotów, krzywiła się i wydawała dziwne do kwiczenia świni podobne westchnienia rozkoszy. Tego już było za wiele. Następnym jego czynem podczas tych niezwykłych zalotów było zaprowadzenie jej do strumienia i wyszorowanie należycie.

Odtąd poświęcił się jej zupełnie, jak wierny kochanek, na ile tylko zdołał przezwyciężyć wstręt. Lecz małżeństwo, które gorąco pragnęła zawrzeć z zachowaniem zwykłych zwyczajów plemienia, stanowczo odrzucał. Na szczęście prawo tabu było silnie przestrzegane wśród plemienia. I tak Ngurn nie mógł nigdy dotknąć kości, mięsa lub biodra krokodyla. Taki był nakaz przy jego urodzeniu. Vngngn pozbawiony był na zawsze dotknięcia kobiety. Taką skazę okupić mogła tylko śmierć kobiety, która się dopuściła tej zbrodni. Zdarzyło się raz jeden od przyjazdu Bassetta, że dziewięcioletnia dziewczynka biegała podczas zabawy, potknęła się i upadła, trącąc świętego wodza. Nie widziano już nigdy tego dziecka. Balatta szeptem wyznała Bassettowi, że dziewczynka trzy dni i trzy noce umierała przed Czerwonym bóstwem. Co do Balatty, jej tabu stanowiło drzewo chlebowe. Bassett rad był z tego. Tym tabu mogła równie dobrze być woda.

Co do siebie — sporządził specjalne tabu. Mógł się ożenić, wyjaśniał, tylko wówczas, gdy Krzyż Południa stanie na najwyższym punkcie nieba. Znał astronomię, zyska! przeto zwłokę prawie dziewięciomiesięczną; ufał, że do tego czasu umrze, lub też dotrze do wybrzeża z całkowitą znajomością Czerwonego bóstwa i źródła nadzwyczajnego głosu. Z początku wyobrażał sobie, że Czerwone bóstwo jest wpływem pewnych warunków temperatury i światła, jakimś olbrzymim posągami jak Memnon, który pod wpływem słonecznego blasku wydaje dźwięki. Skoro jednak po wyprawie wojennej przyprowadzono gromadkę jeńców i spełniono ofiarę wśród nocy i silnego deszczu, gdy słońce nie mogło odgrywać żadnej roli, Czerwone bóstwo silniejszy wydało głos niż zwykle. Bassett odrzucił to przypuszczenie.

W towarzystwie Balatty, czasem z innymi mężczyznami i w gronie kobiet, dawano mu swobodę w trzech częściach przestrzeni zajmowanej przez plemięw dżungli. Czwarta część jednak, w której mieściła się kryjówka Czerwonego bóstwa, była tabu. Usilniej jeszcze zalecał się do Balatty — uważał też, aby częściej szorowała się w wodzie. Była wieczną kobietą, zdolną do wszelkiej zdrady dla miłości. Chociaż więc sam widok jej wywoływał mdłości, a dotknięcie rozpacz, chociaż nie mógł uciec od jej brzydoty w okropnych snach o niej, zdawał sobie sprawę z autentyczności popędu, jaki ją ożywia i dzięki któremu jej własne życie mniejszą miała wartość niż szczęście kochanka, którego miała nadzieję poślubić. Julia czy Balatta? Na czym polegała różnica? Miękki i czuły wytwór ultracywilizacji czy jej zwierzęcy prototyp sprzed tysiąca lat? Nie ma żadnej różnicy.

Bassett był przede wszystkim człowiekiem nauki — potem zaś humanistą. W sercu dżungli

Guadalcanal dokonał próby w tej sprawie, tak jak próbowałby w laboratorium każdej reakcji chemicznej. Zwiększył udane uczucie do buszmenki, powiększając jednocześnie wysiłek swej woli, by zrozumiała jego pragnienie ujrzenia Czerwonego bóstwa twarzą w twarz. Przyznawał, że była to historia stara jak świat, w której kobieta pada ofiarą. Stało się to, gdy oboje razem pewnego dnia łowili małe czarne rybki, nieznane i niesklasyfikowane, długie na cal, pełne łososiowożłotej ikry, które przebywały w słodkiej wodzie i które uważano za największy przysmak, surowe i gotowane, świeże czy też nadgniłe. Schylona w błocie bagnistego podłoża dżungli Balatta rzuciła mu się do nóg, schwyciła je i całowała z dzikimi dźwiękami, od których dreszcz chłodny go przenikał. Błagała, by zabił ją raczej, lecz nie wymagał tej najwyższej daniny miłości. Mówiła mu o karach za złamanie tabu Czerwonego bóstwa — tydzień męki za życia, męki, której szczegóły podawała urywanymi słowami z taką udręką, że zrozumiał wreszcie, jaki lęk człowiek może wzbudzić w człowieku.

Bassett nalegał jednak, chciał bezwzględnie zadowolić swe życzenie, nawet kosztem kobiety: chciał rozwiązać zagadkę śpiewu Czerwonego bóstwa, nawet gdyby Balatta miała konać długo, wśród jęków i męczarni. Balatta była tylko kobietą — uległa. Zaprowadziła go do zakazanej części dżungli. Stroma góra, wysuwająca się od północy, by zetknąć się z drugą podobną górą od południa, tworzyła ze strumienia, w którym łowili ryby, głęboki i ciemny wąwóz. O milę dalej, wzdłuż wąwozu, droga nagle wznosiła się w górę, aż wreszcie przeszli na przełęcz z surowego wapienia, który zwrócił jego uwagę, jako geologa. Wdrapując się coraz wyżej, chociaż Bassett często ustawał z osłabienia, przeszli wyżynę zarosłą drzewami i wreszcie stanęli na nagim płaskowyżu. Bassett rozeznał jego budowę. Był to czarny piasek wulkaniczny, wiedział, że magnes kieszonkowy mógłby wyciągnąć cały ładunek ostrych kanciastych ziarenek, po których stąpali.

Trzymając Balattę za rękę i wiodąc ją naprzód, doszedł wreszcie — doszedł do olbrzymiej jamy, widocznie sztucznie wykopanej w środku płaszczyzny. Dawne dzieje, wskazówki żeglugi po Morzach Południowych, dziesiątki szczegółów i wiadomości szybkich i szalonych przeszły mu przez myśl. Mendana odkrył te wyspy i nazwał je Wyspami Salomona, wierzył bowiem, że odkrył bajeczne kopalnie tego monarchy. Śmiali się ludzie z dziecięcej łatwowierności starego żeglarza; a jednak on sam, Bassett, stał tutaj, na urwisku wklęsłości podobnej nade wszystko do kopalni diamentów Afryki Południowej.

Lecz nie diament widział tam w dole. Była to raczej perła, z głęboko lśniącą irydescencją perły; lecz wielkości takiej, jakiej nie mogłyby dorównać wszystkie perły całego świata i wszelkich czasów razem wzięte, kolor jej przewyższał wszystko, co można wymarzyć, w perłach lub w czymkolwiek innym na świecie, był to bowiem kolor Czerwonego bóstwa. Bassett wiedział natychmiast, że to właśnie jest to — Czerwone bóstwo. Doskonała kula, dwieście stóp średnicy, szczyt jej był o sto stóp poniżej poziomu krawędzi. Porównał rodzaj koloru do lakieru. Sądził, że jest to jakiś rodzaj lakieru, nałożony ręką człowieka, lecz zbyt mądrze obmyślony, aby mógł być wykonany przez buszmenów. Jaśniejszy niż jasna czerwień wiśni, bogactwo barwy wyglądałoby tak, jakby jedna warstwa czerwieni spoczywała na drugiej. Blask olśniewał wprost w promieniach słońca, jak gdyby jaśniał aż gdzieś z głębin, z szeregu podkładów czerwieni.

Na próżno Balatta starała się namówić go, aby nie schodził na dół. Rzuciła się w błoto; lecz gdy szedł dalej ścieżką idącą spiralnie wzdłuż ściany jaskini, poszła za nim, jęciem i szeptem wyrażając swój lęk. Ze czerwona kula była wykopana, jako rzecz drogocenna — to było widoczne. Ze względu na niezdarność członków sfederowanych dwunastu wiosek i na ich prymitywne narzędzia i sposoby pracy. Bassett wiedział, że praca miriadów pokoleń nie zdołałaby wykonać tak olbrzymiego wgłębienia.

Dno jamy zasypałe było kośćmi ludzkimi, pośród których połamane i zniekształcone leżały

bóstwa wioski z drzewa i z kamienia. Niektóre z nich, pokryte bezcennymi postaciami i rysunkami, były wyrzeźbione z grubych pni czterdziestu do pięćdziesięciu stóp długości. Zauważył brak bożków w postaci żółwia, tak pospolitych wśród wioszek nadbrzeżnych, i zdziwiło go częste powtarzanie się motywu hełmu: Cóż wiedzieli o hełmach dzicy mieszkańcy dżungli Guadalcanal? Czy ludzie Mendany nosili hełmy i dotarli tutaj przed kilkuset laty? Jeśli zaś nie, skąd wzięli ten motyw buszmeni?

Bassett posuwał się dalej po rozrzuconych bożkach i kościach, za nim Balatta, popłakując po cichu, wszedł w cień, rzucony przez Czerwone bóstwo, aż wreszcie dotknął go końcem palca. Nie był to lakier. Powierzchnia nie była bynajmniej gładka, jak byłaby niezawodnie, gdyby lakier w grę wchodził. Przeciwnie, była nierówna, popękana, z rysami wskazującymi niejako ślady gorąca i stopu. Był to bezwarunkowo metal, choć niepodobny do żadnego metalu ani do żadnego ze znanych stopów metali, jakie zdarzyło mu się kiedykolwiek widzieć. Co się zaś tyczy koloru, orzekł, że nie był on nałożony na powierzchnię. Był to właściwy kolor samego metalu.

Poruszył palcami, które dotąd dotykały tylko powierzchni, i uczył, że cała ogromna kula ożywia się, rusza i żyje. Rzecz nie do uwierzenia! Tak lekkie dotknięcie tak olbrzymiej masy! Zadrzała jednak pod lekką pieśczętą palców rytmicznym ruchem, który przeszedł w szept, szmery i dźwięk — lecz tak odmienny; tak wysoki i słaby jednocześnie, że podobny był raczej do świstu; tak łagodny, że dochodził do szaleństwa w swej słodyczy, dźwięczał jakby zaklęty róg elfa, co, jak sądził Bassett, zdawało się głosem jakiegoś dzwonu bogów, dochodzodzicego do ziemi poprzez przestworza.

Spojrzał pytająco na Balattę; lecz wywołany przezeń głos Czerwonego bóstwa powalił ją o ziemię, jęczała, leżąc twarzą na kościach. Zwrócił na powrót wzrok ku tym dziwom. Kula była pusta i, jak wywnioskował, wykonana z metalu nie znanego na świecie. Słusznie nazwali ją ludzie dawnych czasów Urodzoną z Gwiazdy. Tylko z gwiazd mogła pochodzić — i nie była dziełem przypadku. Był to twór sztuki i umysłu. Ta doskonałość kształtu, ta próżnia, nie mogły być wynikiem przypadku. Było to niewątpliwie dzieło myśli odległej i nieodgadnionej, oddanej pracy fizycznej nad metalem. Przyglądał się ze zdumieniem, umysł jego zapłonął ogniem najrozmaitszych hipotez, wyjaśniających, czym mógł być ten wędrowiec z daleka, który przebył noc przestrzeni śladem gwiazd, a teraz wznosi się przed nim i nad nim, odkopany przez cierpliwych ludożerców, zakopany i polakierowany przez swą ognistą kąpiel w dwóch atmosferach.

Ale czy był to kolor wypalonego lakieru na jakimkolwiek znanym metalu? Czy też właściwość *samego* metalu? Wepchnął w masę koniec swego nożyka, chcąc się przekonać, co to właściwie jest. Cała kula natychmiast wydało potężny szept, jakby ostrego protestu, prawie brzęk złocisty, jeśli można szept brzękiem nazwać, głos ten wznosił się wyżej, głębiej zapadał, dwa krańcowe punkty skali głosowej uzupełniały niejako zaklęte koło i zlały się w donośny grzmot, który tak często słyszał poza świętą odległością tabu.

Zapomniał o niebezpieczeństwie, zapomniał nawet o życiu, porwał go cud czegoś niepomyślanego i nieodgadzonego, podniósł nóż i zamierzał silnie uderzyć, przeszkodziła mu w tym Balatta. Padła na kolana w agonii strachu i objęła jego kolana, błagając, by zaprzestał. W usilnym pragnieniu, by wyrzucić na nim wrazenie, schwyciła własną rękę pomiędzy zęby i zatopiła je w niej aż do kości.

Zaledwie zauważył, co czyni, chociaż uległ automatycznie łagodniejszym instynktom i wstrzymał uderzenie nożem. W jego oczach życie ludzkie zeszło do mikroskopijnych rozmiarów wobec tego olbrzymiego znaku wyższego życia spoza granic znanego nam wszechświata. Jak gdyby miał przed sobą psa, kopnął brzydką buszmenkę, leżącą u jego stóp i pociągnął za sobą wokół podstawy. W drodze napotykał miejscami straszne rzeczy. Pomiedzy innymi poznał nawet szczątki dziewięcioletniej dziewczynki, która wypad kowo złamała tabu osobistości takiej jak wódz Vngngn.

Wśród tego, co pozostało po tych, którzy już nie żyli, spotkał też to, co zostawało z takiego, który jeszcze nie zakończył życia. Plemię buszmenów słusznie nazwało siebie samych widząc swój własny obraz, w imieniu Czerwonego bóstwa, któremu pragnęli się przypodobać przez te czerwone ofiary.

Dalej wokoło, idąc wciąż po kościach i po wizerunkach ludzi i bogów, które tworzyły podłoże tego starodawnego domu krwawych ofiar, trafił do przyrządu, za pomocą którego doprowadzano Czerwone bóstwo do wysyłania w świat śpiewu jak grzmot, poprzez pasy dżungli i żyzne pastwiska, aż do odległego wybrzeża Ringmanu. Było to równie proste i prymitywne, jak ofiary Czerwonego bóstwa. Duży słup, pięćdziesiąt stóp długości, podtrzymywany całe wieki z zabobonna troskliwością, okryty rzeźbami, przedstawiającymi całe dynastie bogów w kolejnym porządku, w hełmach, umieszczonych w paszczach krokodyli, poruszany był ze szczytu trójnogu, utworzonego z trzech dużych pni drzew leśnych, sznurami, skręconymi z pnących pasożytów roślinnych. Pnie wyrzeźbione były w pokrzywione i dziwaczne podobizny współczesnej ludzkiej sztuki i bogów. Z ruchomego słupa zwisały sznury, którymi ludzie mogli nadawać mu dowolną moc i kierunek. Słup ten można było z jednego końca prowadzić do uderzenia w potężną, lśniącą czerwoną kulę.

Tutaj urzędował Ngurn i spełniał funkcje religijne dla siebie i dla dwunastu podległych mu plemion. Bassett zaśmiał się głośno, jak szalony prawie, na myśl o tym przedziwnym wysłańcu, uniesionym poprzez przestrzeń na skrzydłach rozumu, który wpadł w pułapkę buszmenów i był tam czczony przez dziki lud, podobny do małp, oddający się ludożerstwu. To tak, jakby świat Boży zapadł w błotniste dno przepaści, leżącej w głębinach piekielnych jak gdyby przykazania Jehowy, wyryte na kamieniu, przedstawione były małpom w ogrodzie zoologicznym; jak gdyby Kazanie na Górze wygłoszone było w domu ryczących w szale wariatów.

Tygodnie powoli mijały. Bassett spędzał noce na popiołem pokrytej podłodze domu szatana-szatana, pod wiszącymi wciąż, wędzącymi się głowami. Czynił tak dlatego, że było to tabu dla niższych istot — dla kobiet, było to przeto dla niego schronienie przed Balattą, która prześladowała go coraz natarczywiej i coraz gorętszą pałała do niego miłością, w miarę jak Krzyż Południa wznosił się wyżej na niebie i wskazywał nadchodzący dzień jej zaślubin. Bassett leżał całymi dniami w hamaku, zawieszonym w cieniu olbrzymiego drzewa chlebowego przed domem szatana-szatana. Czasami odstępował od tego zwyczaju, gdy w przerwach pomiędzy atakami wyniszczającej gorączki leżał dniem i nocą w domu głów. Wciąż starał się zwalczyć chorobę, żyć, zachować życie, nabrać sił i być coraz silniejszym aż do dnia, gdy będzie miał dosyć siły, aby przebyć pas łąk i pasy dżungli poza nimi, dotrzeć do wybrzeża, potem zaś do jakiegokolwiek statku i do cywilizacji, do ludzi cywilizowanych, którym przyniesie wieść o wezwaniu z innych światów, leżących w czarnym sercu środkowej części Guadalcanal, o wezwaniu czczonym przez zwierzęta-ludzi.

W inne noce, leżąc późno pod drzewem chlebowym, Bassett spędzał długie godziny na przyglądaniu się gwiazdom wschodzącym za czarną ścianą dżungli, tam gdzie ją przeniesiono, trzebiąc miejsce na wioskę. Posiadał więcej niż pobieżną znajomość astronomii i znajdował chorobliwą przyjemność w rozmyślaniu o mieszkańcach tych niewidocznych, nieprawdopodobnie odległych słońc, których świetlane domy nawiedzało życie, gość nieśmiały z pogrążonych w mroku krypt materii. Granice czasu nie były dla niego straszniejsze niż ramy przestrzeni. Żadne pomysły o radzie nie zachwiały jego silnej naukowej wiary w zachowanie energii i trwałości materii. Zawsze i wiecznie musiały być gwiazdy. I w tym kosmicznym fermentie wszystkie muszą być względnie podobne, względnie z jednej substancji, z wyłączeniem wyjątków. Wszystkie muszą polegać lub wydawać te same prawa, które przechodzą niewzruszone przez całkowite doświadczenie człowieka. Toteż, twierdził, światy ! życie muszą być dane wszystkim słońcom, tak jak były dane jednemu słońcu jego systemu słonecznego.

Zupełnie tak, jak on leży tam pod drzewem chlebowym, umysł wpatrzony w przepaść gwiazdzistą, tak też i cały wszechświat wystawiony jest na nieustanne badania nie zliczonych par oczu, takich jak jogo oczy, choć odmiennie ukształtowanych, za tymi oczami zaś również znajduje się umysł, który pyta, szuka znaczenia i budowy całości. Czuł, jak dusza jego podczas tych rozmyślań łączy się z całym dostojnym gronem ludzi, z tym tłumem, którego wzrok zawsze wpatrzony jest w przędzę nieskończoności.

Kim byli, czym byli ci dalecy i wyżsi ludzie, którzy przerzucili przez niebiosy ten olbrzymi most, lśniący barwami czerwieni o niebiańskich dźwiękach? Bez wątpienia stąpali oni już od dawna po tej ścieżce, na którą człowiek teraz dopiero wejść zdołał. Jeśli mogą przesłać wezwanie poprzez przepaść przestrzeni, musieli z całą pewnością dosięgnąć tych wyżyn, do których człowiek przebija się tak powoli wśród walki, łez, pracy i potu krwawego, w ciemności i zamęcie przeróżnych rad. Czym mogą być na tych wyżynach? Czy osiągnęli Braterstwo? Czy też poznali, że prawo miłości pociąga za sobą pokutę słabości i upadku? Czy walka jest życiem? Czy bezlitosne prawo naturalnego doboru jest prawem całego wszechświata? A co najbliższe i najważniejsze, czy ich przekonania i długo zdobywana mądrość są zamknięte w metalicznym sercu Czerwonego bóstwa, oczekują pierwszego ziemskiego człowieka, który zdoła je przeczytać? Jednego był pewny: dźwięcząca kula nie była raczej kroplą czerwonej rosy. strząśniętą z grzywy lwa z jakiegoś słońca w udreće. Wytworzyła ją świadomość, nie przypadek, posiada ona bowiem mowę i mądrość gwiazd.

Jakie w niej mogą być mechanizmy, jakie żywioły i siły opanowane, jakie tajemnice i wątek przeznaczenia! Skoro tak wiele być może w takiej drobnostce, jak założenie kamienia węgielnego pod gmach publiczny, ta olbrzymia kula powinna niewątpliwie posiadać rozległe dzieje, całe głębie zadań uwieńczonych wynikiem, przechodzących najśmielsze przypuszczenia człowieka, powinna posiadać prawa i formuły, które, gdy człowiek je obejmie, podniosą życie jego na ziemi, pojedyncze i zbiorowe, z teraźniejszego punktu na niepojęte wyżyny czystości i potęgi. To największy dar Czasu dla ślepych, nienasyconych, do gwiazd dążących ludzi. On właśnie, Bassett, otrzymał ten dar przebogaty, on pierwszy usłyszał wezwanie od pokrewnych człowiekowi istot spomiędzy gwiazd!

Ani biały człowiek, ani tym mniej nikt z Innych plemion buszmeńskich, nie mógł spojrzeć na Czerwone bóstwo i pozostać przy życiu. Takie prawo wyłożył Ngurn Bassettowi. Istniała taka rzecz, jak braterstwo krwi, często odpowiadał dawniej Bassett. Lecz Ngurn uroczyście oświadczył, że nie. Nawet braterstwo krwi wykluczone było z łask Czerwonego bóstwa. Tylko człowiek urodzony wśród plemienia mógł spojrzeć na Czerwone bóstwo i żyć. Teraz jednak tajemnicę jego znała tylko Balatta, której strach przed męką wobec Czerwonego bóstwa mocno usta zamykał, toteż sytuacja była zupełnie inna. Jedno, co miał do zrobienia, to wyzdrowieć z tej obrzydliwej gorączki, która *mu* odbierała siły, i powrócić do cywilizacji. Wówczas stanie na czele ekspedycji, przywiedzie ją tutaj, i gdyby nawet cała ludność Guadalcanal miała ulec zagładzie, wyciągnie z serca Czerwonego bóstwa wezwanie wysłane światu przez inne światy.

Bassett jednak *coraz* częściej zapadał w gorączkę, rekonwalescencje jego były coraz rzadsze i coraz słabsze, ataki utraty przytomności coraz dłuższe, aż wreszcie, poza ostatnimi przeblaskami optymizmu doszedł do przekonania, że nie doczeka chwili przekroczenia pasa łąk, przebicia się przez niebezpieczeństwa dżungli i dotarcia do morza. W miarę jak Krzyż Południa wznosił się wyżej na niebie, Bassett był coraz słabszy, wreszcie nawet Baletta wiedziała, że skona, nim nadejdzie dzień zaślubin, określony przez jego tabu. Ngurn odbywał osobiście pielgrzymki i zbierał materiał dymny do uwędzenia głowy Bassetta, oznajmiał mu to z dumą i wyjaśniał artystyczną doskonałość swych zamiarów, które wykona po śmierci Bassetta. Sam Bassett nie wzruszał się tym bynajmniej. Zbyt długotrwały i zbyt głęboki był w nim zanik życia, by mógł odczuwać strach na myśl o pełnym jego



kresie. Trwał dalej, przechodził kolejne obrazy nieprzytomności i półprzytomności, senne i nieprawdziwe, podczas których leniwie zapytywał siebie, czy istotnie widział Czerwone bóstwo, czy też było to tylko majaczenie gorączki.

Nadszedł dzień, w którym wszelkie mgły i zasłony zniknęły, poczuł umysł jasny jak dzwonek i ocenił należycie osłabienie ciała. Nie mógł podnieść ręki ani nogi. Tak małą miał władzę nad swym ciałem, że nie czuł go prawie. Ciało istotnie z lekko tylko okrywało duszę, ta zaś w jasności swojej wiedziała przez tę jasność właśnie, że nadchodzi ciemność końca. Wiedział, że koniec ten już blisko; wiedział, że najprawdziej oglądał swymi oczyma Czerwone bóstwo, wysłańca pomiędzy światami; wiedział, że nie będzie mu dane poselstwa tego świata objawić — poselstwa, cóż bowiem innego mogło oczekiwać na słuch człowieka w sercu Guadalcanal od dziesięciu tysięcy lat. Bassett uniósł się stanowczym ruchem na posłaniu, wywołał Ngurna pod cień drzewa chlebowego i ze starym doktorem szatana-szatana omówił warunki i szczegóły ostatniego swego życiowego wysiłku, ostatniej przygody w powłoce cielesnej.

„Znam prawo, o Ngurn“ zakończył. „Kto nie należy do narodu, nie może spojrzeć na Czerwone bóstwo i pozostać przy życiu. W żadnym razie żyć nie będę. Młodzieńcy wasi zanoszą mnie przed oblicze Czerwonego bóstwa, spojrzę na nie, głos jego usłyszę, i umrę z ręki twej, o Ngurn. Tym sposobem trzem rzeczom stanie się zadość: prawu, pragnieniu mojemu i twoim życzeniom, prędzej bowiem obejmiesz w posiadanie moją głowę, na którą czekają wszystkie twoje przygotowania“.

Zgodził się Ngurn i dodał:

„Tak lepiej. Człowiek chory, który nie może wyzdrowieć, nie powinien dbać o przedłużenie życia na tak krótko. Lepiej też dla żywych, aby w ten sposób odszedł. W ostatnich czasach ogromnie mi przeszkadzałeś. Przyznaję, że dla mnie rozmowa z takim mędrcom była nader korzystna. Lecz całymi miesiącami rozmawialiśmy bardzo mało. Natomiast zająłeś miejsce w domu głów, hałasowałeś jak wieprz zdychający albo mówiłeś dużo i głośno w twym własnym języku, którego nie rozumiem. Przeszkadzało mi to niesłuchanie, lubię bowiem rozmyślać nad wielkimi sprawami światła i ciemności, gdy obracam głowy w dymie. Tym sposobem hałas twój przerywał moją naukę i badania ostatecznej mądrości, którą osiągnę przed śmiercią. Co zaś do ciebie, nad którym już ciemność zawisła, gdy będę obracał głowę twoją w dymie, nikt z plemienia mego nie wejdzie tutaj, by nam przeszkadzać. Powiem ci wiele tajemnic, jestem bowiem starym człowiekiem i bardzo mądrym, dodam mądrość do mądrości, gdy będę obracał w dymie twoją głowę“.

Sporządzono nosze i na ramionach sześciu ludzi Bassett wyruszył na ostatnią małą przygodę, która miała uwieńczyć dla niego całą wielką przygodą życia. Z ciałem, którego nie czuł prawie, gdyż nawet ból już wyszedł z niego, z jasnym, pogodnym umysłem, który umożliwiał spokojną ekstazą zupełnej przytomności myśli, leżał na noszach i przypatrywał się gaśnięciu przemijającego świata. Spojrzał po raz ostatni na drzewo chlebowe przed domem szatana-szatana, na mrok pod dachem nakrytym plecionką, ciemny wąwóz pomiędzy górami, przełęcz wapnia i stopy czarnego wulkanicznego piasku.

Nieśli go po krętej ścieżynce jamy, okrążali lśniące Czerwone bóstwo, które zdawało się zawsze gotowe do przejścia z barwy i światła w przesłodki śpiew i grzmoty. Nieśli go ponad kośćmi i szczątkami poświęconych na ofiarę ludzi i bogów, obok ohydy ofiar żyjących jeszcze, do trójnoga z pni i do olbrzyma pnia bijącego w kulę.

Tutaj Bassett z pomocą Ngurna i Balatty usiadł z wysiłkiem, kołysząc się w biodrach, i czystym, jasnym, wszystkowiedzącym wzrokiem spojrzął na Czerwone bóstwo.

„Raz jeden, o Ngurn“, rzekł, nie spuszczać oczu z lśniącej, pulsującej powierzchni, na której i w której wszelkie odcienie czerwieni igrały bezustannie, gotowe wciąż do przeistoczenia się w

dźwięk, do wydania szeptów jedwabnych, srebrzystych odgłosów, złotych brzęków strun, aksamitnych pogwizdów krainy elfów, miękkich odległości grzmotu.

„Czekam“, nalegał Ngurn po długiej chwili, z tomahawkiem na długiej obsadzie w ręku.

„Raz jeden, o Ngurn“, powtórzył Bassett, „daj przemówić Czerwonemu bóstwu, niech ujrzą jego mowę, tak jak ją słyszę. Wtedy uderz, gdy rękę podniosę: bowiem, gdy podniosę rękę, opuszczę głowę naprzód i zrobię miejsce na uderzenie przy końcu mojej szyi. Lecz, o Ngurn, ja, który mam na zawsze opuścić światło dnia, chciałbym je opuścić z uchem pełnym śpiewu cudnego głosu Czerwonego bóstwa“.

„Ja zaś obiecuję, że żadna głowa nie będzie nigdy tak dobrze uwędzona jak twoja“, zapewniał Ngurn, dając jednocześnie znak ludziom, by pociągnęli za sznury zawieszono u słupa bijącego. „Głowa twoja będzie największym moim dziełem w wędzeniu głów“.

Bassett uśmiechnął się spokojnie z próżności starca, gdy opuszczono wielki pień rzeźbiony, cofnięty przedtem o dwadzieścia stóp. Chwilę potem zapadł w ekstazę na dźwięk nagłego, grzmiącego wyzwolenia dźwięku. Taki grzmot! Miękki był, całą miękkością drogocennych dźwięcznych metali. Archaniołowie w nim przemawiali, przepysznie piękny był, ponad wszelkie dźwięki, posiadał rozum nadludzi, mieszkańców planet innych słońc: był to głos Boga, porywał i nakazywał posłuch. I ten wieczny cud międzygwiazdowego metalu! Bassett widział własnymi oczyma, jak barwa i barwy zamieniały się w dźwięk, aż wreszcie widoczna powierzchnia wielkiej kuli stała się żywa, ruchliwa, stało się obłokiem, o którym nie umiał rzec, czy jest barwa, czy dźwiękiem. W tej chwili ujrzał granice materii, przemiany jej i połączone przejścia materii w energię.

Czas mijał. Wreszcie niecierpliwy ruch Ngurna wyrwał Bassetta z ekstazy. Zapomniał zupełnie o starym szatanie-szatanie. Szybki przebłysk myśli wyrwał z ust Bassetta krótki urywany śmiech. Strzelba jego leżała przy nim na noszach. Lufę miał przy głowie, jedno naciśnięcie kurka wystarczyłoby do obrócenia tej głowy w nicość.

Po cóż go oszukiwać? — przyszła następna myśl. Łowca głów, zwierzę ludożerca, człowiek, który był prawie małpą, a jednak Ngurn zgodnie ze swoimi pojęciami postępował więcej niż uczciwie. Ngurn sam w sobie odznaczał się etyką i słownością, względnością i łagodnością ludzką. Nie, postanowił Bassett, byłoby nieuczciwe zakończyć oszukaniem starca. Głowa jego była własnością Ngurna i Ngurn będzie mógł ją uwędzić.

Bassett podnosząc rękę, nachylił głowę, jak było umówione, by odkryć wyraźnie połączenie z kręgosłupem, zapomniał o Balacie, która była tylko kobietą, jedyną i nieupragnioną. Wiedział nie wiedząc, kiedy siekierka o brzegu brzytwy wzniosła się w górę poza nim. W tej chwili, przed końcem, spadł na Bassetta cień Nieznanego, uczucie niewymownego cudu, opadnięcia murów przed niepojętym. Gdy wiedział, że uderzenie spada, sekundę przedtem, nim ostrze stalowe dotknęło ciała i nerwów, zdawało mu się, że patrzy na spokojną twarz Meduzy. Jednocześnie z uderzeniem stali i nadejściem ciemności ujrzał w widzeniu głowę swoją, jak obracało się z wolna ku domostwu szatana-szatana przy drzewie chlebowym.

**Waikiki, Honolulu. Maj 22, 1916.**

Przygotowano na podstawie bookini.pl